ØLEG&KAŚKA, ZOFIA PAŁUCHA, Trzepot skrzydeł w koronach drzew

Gdańska Galeria Miejska
4 maja – 27 czerwca 2021
kuratorka: Gabriela Warzycka-Tutak

Malarstwo dziś daje się łatwiej kategoryzować na podstawie emocji niż cech dystynktywnych stylu. Linie demarkacyjne przebiegają raczej na poziomie afektów i sposobów konstruowania narracji niż wzdłuż podziałów na abstrakcję i figurację czy gałęzi wyrastających z konkretnych historycznych źródeł. W efekcie malarki wręcz programowo astylowe, jak Allison Katz, zdają się reprezentować postawy najbardziej spójne. Øleg&Kaśka oraz Zofia Pałucha, zaproszeni przez Gabrielę Warzycką-Tutak do wspólnej wystawy *Trzepot skrzydeł w koronach drzew* w Gdańskiej Galerii Miejskiej, nawet jeśli formalnie należą do nieco różnych bajek, pochodzą z tego samego uniwersum. Oboje (Øleg&Kaśka konsekwentnie przedstawiają się jako jeden organizm czy też artystyczny brand) uprawiają więc malarstwo, które za Chrisem Sharpem można by nazwać po prostu *cool painting* – takie, które wymyka się bezpośrednim przyporządkowaniom, ale które sprawia, że na język ciśnie się mnóstwo przymiotników. Fajnomalarstwo na dzisiejszej scenie sąsiaduje więc z malarstwem analitycznym i autotelicznym (Tomasz Kręcicki, Emilia Kina), wylewnym i zaangażowanym jednocześnie (Karolina Jabłońska, Martyna Czech, Agata Słowak) i erudycyjnie narracyjnym (Mikołaj Sobczak, Dominika Kowynia).

Wydawałoby się, że cool malarstwo jest z tego wszystkiego uprawiać najprościej. Nie musi ono mieć żadnej politycznej agendy, przeprowadzać tożsamościowej wiwisekcji ani starać się poszerzać granic medium. Znamienne, że wystawie w GGM towarzyszy tekst przypominający raczej krótkie impresyjne opowiadanie o przechadzce po parku niż klasyczną narrację kuratorską, która proponowałaby jakiekolwiek tezy lub interpretacje – idealne tekstowe dopełnienie fajnomalarskiego

Øleg&Kaśka i Zofia Pałucha, *Trzepot skrzydeł w koronach drzew*, widok wystawy
fot. Tomasz Koszewnik, dzięki uprzejmości Gdańskiej Galerii Miejskiej

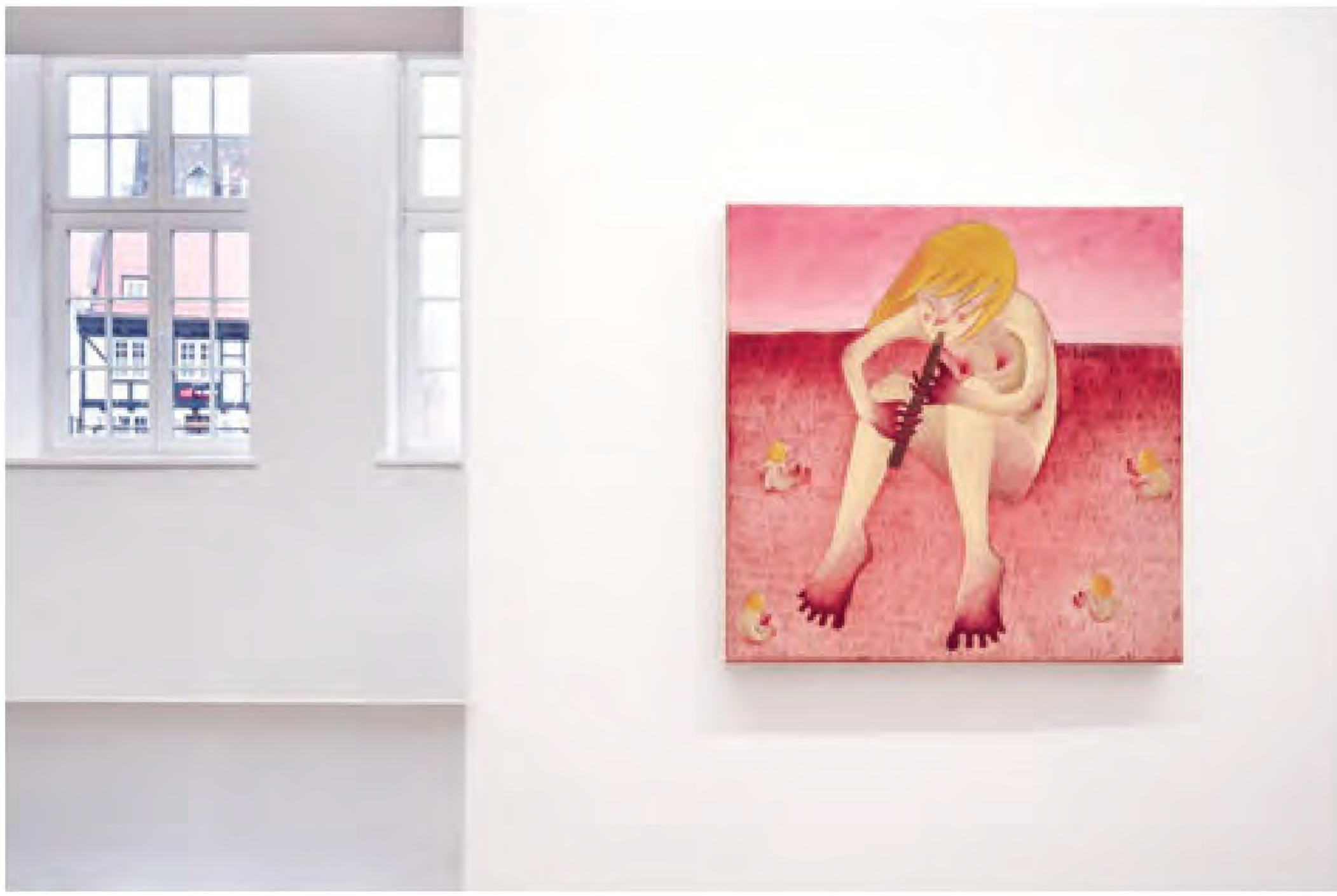

pokazu. A jednak ta łatwość jest zwodnicza. Niewymuszona *sprezzatura* to stan trudny do osiągnięcia, któremu nie sposób przypisać zestaw określonych cech. A nie ma nic bardziej ciężkostrawnego niż wymuszona swoboda i wymęczona fajność, co przez kontrast pomiędzy pracami Ølega&Kaśki i Zofii Pałuchy udowadnia gdańska wystawa.

W galerii wita nas kilkanaście obrazów i dwuczęściowa rzeźbiarska instalacja *Wishful Tree* Ølega&Kaśki. W jednym rogu sali zwisa brązowo-szary kokon z masy papierowej utworzonej z recyklingowanych kartonów, uformowany na szkielecie z metalowej siatki, wypełniony prześwitującymi srebrzystymi wstążkami. Jedną z nich można ze środka wyciągnąć i wypowiadając w myślach życzenie, zawiesić po drugiej stronie sali – na gałęzi rozłożystego drzewa z tego samego materiału, wyrastającego z piasku pośrodku drewnianej platformy, przed którą ustawiono parę *geta*, tradycyjnych japońskich drewnianych sandałów.

Przypomina to umowny scenograficzny ogród zen, raczej ze szkolnego przedstawienia niż wysokobudżetowej produkcji teatralnej. Wcześniej drzewo ponoć trochę bardziej przypominało wierzbę płaczącą, ale kiedy dotarłem na wystawę, obwieszone wstążkami na niemal wszystkich gałęziach wyglądało raczej jak świąteczna choinka dekorowana przez bandę dzieciaków, z których każde koniecznie chce dorzucić na wolnym skrawku gałęzi coś od siebie. Ale nic nie szkodzi, Øleg&Kaśka ewidentnie nie ma napinki na aranżację wystawy od linijki i gustuje raczej w przestrzeniach do zabawy niż do kontemplacji.

Zaproszenie do zabawy w wieszanie wstążek i wypowiadanie życzeń rodem z jakiegoś lokalnego, folklorystycznego rytuału zdaje się przy okazji odzwierciedlać stosunek Ølega&Kaśki do

Podczas gdy obrazy Ølega&Kaśki są swobodne jak pomysły notowane luźno w szkicowniku, płótna Pałuchy sprawiają wrażenie, jakby powstały podczas odrabiania codziennej żmudnej szychty w pracowni.

Øleg&Kaśka i Zofia Pałucha, *Trzepot skrzydeł w koronach drzew*, widok wystawy
fot. Tomasz Koszewnik, dzięki uprzejmości Gdańskiej Galerii Miejskiej

potencjału samej sztuki. Chodzi tu raczej o wspólne celebrowanie niż o wiarę w to, że konkretny obiekt jest w stanie zmienić świat, o zbiorowe doświadczanie i zanurzanie się w opowieści, nie o dydaktykę. Gdańska wystawa nie jest – na szczęście – opowieścią w stylu „jak artyści wyobrażają sobie świat po pandemii", ale siłą rzeczy prace Ølega&Kaśki zdają się w bardzo delikatny, niebezpośredni sposób mówić właśnie o tym w kontekście tak prozaicznej czynności jak chodzenie na wystawy i oglądanie obrazów na żywo – o fizycznej przyjemności oglądania paru płócien po zdrowym wielomiesięcznym detoksie od zwyczajnego wystawowego rytmu. Cała ta zabawa z drzewem życzeń to jakby próba dokopania się do resztek myślenia o przestrzeni galerii w kontekście „świątyni", a nie połączenia biura, fabryki i butiku, choć raczej świątyni w formie małej kapliczki *shintō* pośród drzew niż posępnej katedry.

Mięsem wystawy w GGM jest jednak malarstwo, w przypadku zarówno Ølega&Kaśki, jak i Zofii Pałuchy układające się w wyraziste formalne cykle. Øleg&Kaśka pokazuje w Gdańsku serię obrazów akrylowo-kredkowych, miękko malowanych, pudrowych, matowych, ilustracyjnie uproszczonych, trochę jak u Coline Marotty. Powraca w nich jedna bohaterka. Blond włosy, skośne oczy, mały, spiczasty nos – twarz w typie Tove Jansson z autoportretów. Raz, na małych formatach, wypełnia ona całe płótno, wywalając język lub szczerząc się od ucha do ucha, na innych, wielkoformatowych, obrazach kuli się z groźną miną pod futrem z wilczej skóry lub zamienia w ogromną, nieporadną gigantkę rodem z *Shingeki no Kyojin* (Øleg&Kaśka ostatnimi czasy zdradza wyraźną fascynację anime, niedawno w Rondzie Sztuki w Katowicach można było zobaczyć obrazy nawiązujące między innymi do *Naruto*).

Umieszczona na pozbawionym jakichkolwiek szczegółów różowym tle bohaterka wydaje się uwięziona w nieokreślonej pustej przestrzeni i jak gdyby wciela się w kolejne role we własnej głowie, nawet uśmiech sprawia tu wrażenie aż zbyt szerokiego, jakby był tylko wyćwiczonym udawaniem emocji. Trudno z tych strzępków poskładać jednolitą narrację, łatwo jednak wyczuć, że urywki te tylko pozornie składają się na opowieść kreskówkowo niewinną. Jak w płótnach Ernsta Yohjiego Jägera za granicami tego sennego świata ewidentnie czai się jakaś nieokreślona opresja – czy to szklany klosz własnej psychiki, czy ściany fizycznego więzienia, w którym tkwi bohaterka.

Pałucha dla odmiany trzyma się realizmu czy nawet ociera o fotograficzny hiperrealizm. W Gdańsku artystka pokazuje serię płócien wyglądających jak kadry z *Życia ptaków* Davida Attenborough lub zdjęcia z albumu miłośnika ornitologicznej fotografii, z jednym twistem – zamiast dziobać ziarno czy owoce, szczygły, mewy, bogatki i inne bliżej mi nieznane ptaki na obrazach Pałuchy dziobią małe, roześmiane dziewczęce główki. Takie zestawienia to podstawowy chwyt w repertuarze artystki. We wcześniejszych pracach Pałucha ludzkie głowy nadziewała na narciarskie kijki i przedstawiała jako oczka pierścionków, warczące psy husky ubierała w kurtki Off White, a postaci z obrazów Picassa układała na półkach w markecie. Można więc powiedzieć, że jej sztuka jest w najprostszym sensie surrealistyczna – wyrastająca nie z tradycji „automatyzmu psychicznego", a realistycznego w formie malarstwa, w którym logika świata przestawionego zostaje zaburzona.

Jednak takie proste przeciwstawienia wyrastające z prac René Magritte'a i okolic to dziś raczej ta mniej ciekawa część surrealistycznego dziedzictwa, a nawet poboczna gałąź, która wynaturzyła się dawno w artepolowe koszmarki pokroju Rafała Olbińskiego. Pałucha gra oczywiście w innej lidze, choć czasami niebezpiecznie się do takiego neosurrealistycznego kiczu zbliża, zwłaszcza gdy bardzo stara się być ostentacyjnie „współczesna" i uprawia wizualny *name-dropping*, kiedy maluje twarze Billie Eilish, Grety Thunberg czy kolejne fetysze świata mody. Deklaracje artystki o „badaniu strumienia świadomości jako narzędzia do zapisu współczesności w dobie internetu" wydają się mocno na wyrost – nie każda próba zapisu strumienia świadomości musi być gęsta jak *Finneganów tren*, ale zestawienie w obrazie dwóch randomowych elementów to jednak trochę za mało, a i sposób ich łączenia „w dobie internetu" nie jest w wydaniu artystki specjalnie unikatowy na tle surrealistycznej sztuki doby prasy i radia. Przywoływanie znanych twarzy i budowanie zabawnych kontrastów wygląda w efekcie jak bardzo usilna próba zostania „głosem pokolenia" gen zetów.

Drugim problemem obrazów Pałuchy jest sama forma. Gdy artystka posługuje się kredkami, ziarnista faktura, żywe, wyjaskrawione kolory i rytmiczne ślady pojedynczych kresek bywają naprawdę wirtuozerskie. Kiedy jednak z papieru i kredek przestawia się na olej i płótno, powstają obrazy poprawne, ale bez ikry, jakby rozdarte między skrajną drobiazgowością Łukasza Korolkiewicza a bardzo malarskim, celebrującym każdy widoczny na płótnie ruch pędzla fotograficznym realizmem Marcina Maciejowskiego. Świat z obrazów Pałuchy to imaginarium rodem z disneyowskich zombie-remake'ów klasycznych animacji w wersji CGI – z jednej strony wymodelowane z dokładnością do każdego pojedynczego włosa, z drugiej wciąż rażąco sztuczne.

W efekcie podczas gdy obrazy Ølega&Kaśki są swobodne jak pomysły notowane luźno w szkicowniku, płótna Pałuchy sprawiają wrażenie, jakby powstały podczas odrabiania codziennej żmudnej szychty w pracowni. W czym ikonograficzna monotonia i wariacje na temat ciągle tego samego motywu również nie pomagają. Widocznie trudno jest malować nie tylko mądrze i aktualnie – wcale nie łatwiej jest malować po prostu fajnie.

–

Piotr Policht